

Stanisław Piasecki

Happy end sprzed 50-ciu lat

TEATR NARODOWY: Rozbitki. Komedja Józefa Blizińskiego.

Trzeba to sobie wbić kilka razy w pamięć, żeby uwierzyć: „Rozbitki” zostały napisane za ledwie pięćdziesiąt lat temu! Ujechalismy chyba przez ten czas o stulecie naprzód w pojęciach. Niewiele może zmienić się sam obraz obyczajowy, jaki małe Bliziński. Ale jakże inny jest nasz stosunek do niego, jak inaczej musiałby patrzeć nań pisarz współczesny, gdyby podjął ten sam temat!

Temat zresztą do dziś aktualny: degrengolada warstwy magnackiej i półmagnackiej, owej „półtorowej szlachty”, co to w procesie coraż szybciej idących przemian społecznych nie umie — jak umie szlachta — ani schłapieć, ani przejść w inteligencję miejską. Za wszelką cenę chce jeszcze trzymać dawny, magnacki fason. Zastaw się, a postaw się. Sprzedaj się, a nie spuść z tonu. Jak się już nie da inaczej, to wywołaj nanowo tarczę herbową handlem małżeńskim.

Państwo szambelanowie Czarnoskalscy na Czarnej Skale siedzą w długach powyżej uszu. Stary szambelan (tylko „je” pozostał z roli, odgrzywanej kiedyś przy jakimś dworze przez ród Czarnoskalskich) niema często w kieszeni rubla. Ale fantazja wielkopanska jeszcze jest, i duma pana, pewnego, że świat należy tylko do utytułowanych. Mieszczńska hołota ma teraz pieniądze (rzecz dzieje się 50 lat temu!), więc te pieniądze trzeba spowrotem oddać, komu należą: Czarnoskalskim. To pewnik dla państwa szambelanów. Towar na sprzedaż jest. Córkę można wydać za tego tam tyka Straszę, co niespodziewanie odziedziczył w okolicy milionowy majątek, (niech chłam milionikiem zapłaci za zaszczyt!), syna zaś ożenić z panną Dziendzierzyńską, której ojciec dorobił się na handlu, kupił w sąsiedztwie rezydencję wiejską i gwałtem pcha się do arystokracji. Znakomitą rajfurę będzie hrabia Kotwicz-Dahlberg-Czarnoskalski, z najbardziej arystokratycznej a zarazem najbardziej gołej linii Czarnoskalskich, któremu coś tam zawsze kapnie na cygara i dziewczynki jako poręczawicze.

Zmieniło się co od czasów Blizińskiego do dzisiejszych stosunków w tej sferze, uwiecznionych świeżo w powieści Debora „Czeki bez pokrycia”? Niewiele. Tyle, że już z krajowymi fortunami mieszczanami także kruchło, że Dziendzierzyńskie nie mają pieniędzy, że trzeba już pójść na zamorskiego zwierzca — ot, tak jak w „Czekach bez pokrycia” na milionerkę amerykańską podejrzaną konduity, ale z pokryciem na hrabiowskie czek.

Co się jednak zmieniło, co się obróciło o sto osiemdziesiąt stopni — to pojęcie happy end'u w takiej myśliwskiej historyjce. Bliziński potrafił schłostać Czarnoskalskich satyrą, potrafił z

jeszcze większą pasją wydrwić pnyących się do arystokracji tyków — ale nie stać go już było na zostawienie Czarnoskalskich na lodzie. Kiedy kombinacja wydania młodej Czarnoskalskiej za Straszę bierze w łeb, to jednak młody Czarnoskalski ożeni się z Dziendzierzyńską i uratuje tym mariażem Czarną Skalę. Ten młody Czarnoskalski to nawet skrupulat; nie ożeniłby się dla samych pieniędzy; chce, żeby go panna kochała. Bliziński spieszy mu natychmiast z pomocą: panna aż usycha z miłości, żeby pieniądze Dziendzierzyńskich mogły przecież uratować Czarnoskalskich.

Bo jakże to? Mógłby stary szambelan, dziedzic wspaniałych tradycji rodowych, nie mieć w dalszym ciągu rubla na dorożkę? Mogłaby Czarna Skala pójść z młotką? To się Blizińskiemu nie może pomieścić w głowie. My dziś na to patrzmy inaczej. A niechby, psia krew, nie miał na dorożkę, kiedy darmozjad przepułt majątek. To byłby happy end.

Komedja Blizińskiego, choć pod tym względem dobrze stara i przestarzała, jeśli idzie o budowę i technikę pisarską, wcale nie pięćdziesiąt lat nie wygląda. Imponuje wprost śmiałością zerwania z klasycznym szablonem komedjowym. Taki choćby szczegół: trzy pary kochają się w niej ostatecznie, a nie wyprowadza ich autor na przód na sceny, ani nie stawia zbytecznych kropek nad i. Techniki zakończenia „Rozbitków” nie powstydziłby się Perzyski. Ale bo też starego Blizińskiego znacznie więcej łączy z współczesnym nam Perzyskim, niż z starymi Fredrą i Bałuckim. Satyrę raczej operuje, niż humorem. To niespodziewane odkrycie, które zrobiła nasza publiczność, pozbawiona od dziesięciu lat wznowień komedji Blizińskiego na scenach warszawskich, sprawiło jej pewien zawód po oszalalym humorze „Klubu kawalerów”. Spodziewano się okazji do bezstronkiego śmiechu, a tymczasem przemówiła ze sceny gorzka satyra.

Reżyser Węgierko świetnie wyczuł gatunek komedji Blizińskiego. Nie powtórzył groteskowej stylizacji z „Klubu kawalerów”, co tu byłoby błędem nie do darowania. Zainscenizował — i jedynie słusznie — przedstawienie realistyczne. W kostiumach, w dekoracjach, w rodzaju gry aktorskiej. Tu i ówdzie wyskoczyli mu aktorzy z realistycznej koncepcji, łasi na pokłask widowni, ale większość zespołu trzymała się znakomicie właściwego tonu.

Ci, co wyskoczyli, to przede wszystkim Buczyńska, bardzo zabawna i oklaskiwana, ale która przerysowała (żeby nie powiedzieć: przeszarżowała) rolę rezydentki Łechcińskiej aż farsowo i potroszę Leszczyński, który bardziej starał się wydobyć z roli Straszę humor, niż pokazać człowieka. A przecież ten Strasz, pisarczyk od rejenta, któ-

ry dorwał się do pieniędzy, i z swoim ożłoconem jasnie chamstwem stał do oczu rodowemu jasnie państwu Czarnoskalskich — to najciekawszy typ w sztuce.

Koncertowy natomiast kwintet aktorski stworzyli w pozostałych rolach komedji Junosza-Stepowski, Fritsche, Zelwerowicz, Świerczewska i Pawłowski.

Hrabia Kotwicz-Dahlberg-Czarnoskalski, rajfur i wycirus, to polska odmiana hrabiego Mancini z „Tego, którego biją po twarzy” Andrejewa — czyż trzeba dodawać, że Junosza-Stepowski zagrał tę rolę jeszcze pewniej, od tamtej sławnej roli? Zelwerowicz znalazł w Dziendzierzyńskim arcytyp: mieszczanśką jowialność świeżo upieczonego szlagona, co to jeszcze po cichutku prowadzi sklep w mieście, ale już tylko mówi o polowaniach i każde zdanie szpi-

kuje nuworyszowską, poprzekręcaną francuszczyzną — radowała widowie do łez. Fritsche znów, jako szambelan Czarnoskalski, pańsko obnosił po scenie niezawodną i z owej nieprzytomności magnackiej wobec spraw materialnych (Czarnoskalscy są stworzeni do rozrzucania pieniędzy — i basta!) efekt sceniczny wydobyl mocny. Wreszcie Świerczewska i Pawłowski dowiedli, co można zrobić i z szablonych ról „młodych”, gdy się poza nikłym tekstem roli poszuka akcentów ludzkich.

Nie udało się natomiast poza szablony ról wyjść Rotterowej, Rolandowi i Lindorównie.

Kostjumy Węgierkowej (zwłaszcza kobiece) doskonałe. Dekoracje Jarockiego w wnętrzu niegorsze, w plenerze 1-go aktu oleodruczkowate.

Z nauki i sztuki

Literatura

— Litwa — literaturze polskiej. Czasopismo litewskie „Romuva” poświęci najbliższy swój numer kulturze polskiej. Do współpracy w numerze zaproszono m. in. wielu wybitnych przedstawicieli polskiej literatury współczesnej.

— Na warsztacie pisarzy. Michał Sobieski, prof. Uniwersytetu Poznańskiego, przygotowuje do druku studium p. t. „Geneza form artystycznych”.

Wanda Wasilewska, autorka „Oblicza dnia” i powieści dla młodzieży „Kryształowa kula Krzysztofa Kolumba”, oddaje do druku nową książkę dla młodzieży, p. t. „Ślaskiem czynu”. Ukazuje się ona w „Bibliotece Młodzieży”, w której także wydanie nowa książka Heleny Boguszczyńskiej — „Za zielonym wiatem”.

Poeta i prozaik poznański, Artur Marjan Swinarski wydaje książkę p. t. „Lipy w Oporowie”.

— Poemat o powodzi. Marjan Czuchnowski po wydaniu szkicu teoretycznego „Nowa Kultura”, stanowiącego przegląd zagadnień, poruszających obecnie polskich pisarzy chińskich, przygotowuje do druku poemat współczesny p. t. „Śmierć i powódź”.

— Nowa książka Piolun-Nowoszewskiego. Stanisław Piolun-Nowoszewski, autor znanego studium o Żeromskim i tomu nowel p. t. „Trzy panny z Kurzelowa”, ukończył nową książkę, która będzie miała tytuł „Turkusowe brewery”. Będzie to zbiór wesołych opowiadań.

— Goetel po włosku. Niebawem ukaże się nakładem jednej z mediolańskich firm wydawniczych tłumaczenie powieści Goetla „Z dnia na dzień”.

— Karin Michaelis dla dzieci sowieckich. Znana autorka duńska, Karin Michaelis, która niedawno zwiedzała Rosję Sowiecką, ołiarowała dzieciom sowieckim fantastyczną książkę z życia dzieci duńskich. Książka ma wkrótce wyjść w przekładzie rosyjskim.

Featr

— Nowy konkurs teatralny. Związek Teatrów Ludowych w Polsce ogłosił nowy konkurs na utwór dramatyczny, poruszający zagadnienia gospodarcze, społeczno-polityczne i kulturalne współczesnej wsi, ze szczególnym uwzględnieniem roli młodzieży wiejskiej. Nagrody: 500 zł, 300 zł i 100 zł. Termin składania prac upływa z dniem 1 lutego 1935 r., wyniki natomiast zostaną ogłoszone 1 czerwca 1935 r. Sąd konkursowy stanowią: J. Cierniak, H. Ładosz, St. Młodziejewicz, I. Solarz i J. Turowiczówna.

— Pogrzeb „artysty ludowego ZS RR”. W Sowiecie zmarł znany tenor rosyjski, Sobinow. Sobinow przed wojną posiadał rozgłos europejski, po rewolucji bolszewickiej pozostał w Rosji, a z biegiem czasu otrzymał nawet tytuł „ludowego artysty Związku Sowieckiego”. Pogrzeb Sowieci urządzą z niebywałym przepychem — trumna była wystawiona przez dwa dni w moskiewskim Teatrze Wielkim.

— Premiera czechosłowackiej opery Dworzaka w Poznaniu. Z okazji czechosłowackiego święta narodowego wystawił Teatr Wielki w Poznaniu niegraną dotąd w Polsce operę komijną Dworzaka, p. t. „Czart i Kasia”. Pogodną tę operę, o pięknej, melodyjnej muzyce, przygotował pod względem muzycznym dyrektor Opery, dr. Ładoszowski, wyreżyserował zaś i grał rolę Czarta reżyser Narodnego Divadla w Pradze p. Mundlinger.

Plastyka

— Plakaty polskie na wystawie w Wiedniu. Wzorem zamknięta tu została międzynarodowa wystawa plakatów, na której jedną ze sekcji zajmowały plakaty polskie w liczbie 10. Plakaty polskie spotkały się z dużym uznaniem krytyki fachowej, która niejednokrotnie wyróżniała je w swych sprawozdaniach.

Podróżuj samolotem

Uparcie orkiestra filharmoniczna znajduje, jakieś licha wstało między koncert Rachmaninowa a jego preludja „Don Juana” Straussa...

Przedwyszkietem uczyniono tem krzywdę Orłowski, waląc bezpośrednio po jego niezwykle subtelnej grze, pełen bogactwa wprawdzie, ale głośny, bardzo głośny poemat symfoniczny, a potem, gdy jeszcze nie przebrzmiały należycie jego dźwięki, zaczął artyście spowrotem grać preludja ułożone na fortepian.

„Don Juana” Straussa można słuchać zawsze i z duża przyjemnością ale w warunkach, jakie napewno miał kompozytor na myśli wiążąc swoją koncepcję twórczą z zespołem symfonicznym. W piątek „Don Juan” brzmiał czasami poprostu nieznosnie.

Program wieczoru zawierał jeszcze czwartą symfonię Beethovena.

Następnego dnia mieliśmy występ kwartetu Indiga z Paryża, który grał utwory Roussela, Be-

L'sty Jana Koziatulskiego Bohatera snod Somosierry

Na posiedzeniu komisji historycznej Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu znany historyk polski, prof. dr. A. M. Skałkowski, poinformował Towarzystwo o znalezieniu cennych materiałów rękopiśmiennych, odnoszących się do popularnej postaci Jana Koziatulskiego, dowódcy szwadronu polskiego w szarży pod Somosierrą, zmarłego w Lesznie w r. 1824.

Papiery te znaleziono w zbiorach, przechowywanych w Wysocku pod Jarosławiem, majątku Zamoyskich. Jest to teczka listów matki, siostry i towarzyszy broni, zapewne przewieziona przez I. Czartoryską, gdy po zajęciu Puław szukała schronienia w Galicji i uratowała ze sobą część pa-

miątek ze świątyni Sybilli.

Listy niejednokrotnie zawierają charakterystykę Koziatulskiego, zwłaszcza listy matki, w których ostrzega ona syna przed nieopanowanym temperamentem i przypomina, jak to go w domu nazywano „siarką”. Zaznacza też, że przy boku cesarza należy się godnie prezentować, „a broń Boże się zbłaźnić”.

Listy siostry, pisane po francusku (podczas gdy listy matki pisane są po polsku), mówią przeważnie o zabawach i balach w stolicy. Bardzo wiele ciekawych szczegółów zawierają listy kolegów. Są w nich nieraz sprawy czy sto osobiste, ale bardzo charakterystyczne dla ówczesnych ludzi.

Szymanowski koncertuje w Londynie

Karol Szymanowski bawi obecnie w Anglii, z czego skorzystał angielski Broadcasting i zaprosił go na dwa wieczory. W ubiegłą sobotę radio angielskie ze stacji London - Regional nadało transmisję z sali koncertowej w hotelu „Darlington”.

Szymanowski sam grał dwa swoje mazurki oraz wykonał partię fortepianową w utworach skrzypcowych, granych przez Romaną Totenberga. Były to: Nok-

turn, Tarantella, Taniec góralski z „Harnasi”, Pieśń Roksan, Romans oraz dwa Capriccia Paganini'ego w opracowaniu Szymanowskiego.

Druga transmisja odbyła się w niedzielę wieczorem ze studia radiowego. Był to koncert symfoniczny orkiestry angielskiego Broadcastinga. Grano czwartą symfonię Szymanowskiego, w której kompozytor odegrał partię fortepianową.

Na ekranach

„Rzymskie Skandale” („Atlantic”)

W żadnym z dotychczasowych filmów semickie pochodzenie Eddie Cantora nie uwidoczniło się tak wyraźnie, jak w obecnej roli watego „kombinatora”, przeżywającego we śnie niebywałe przygody na dworze Cesarza Valeriusa. Choćby oprawa dekoracyjna i całe otoczenie są całkiem inne, czujemy się widzami szmonegowego skeczu w Bandzie, sławiącego przemysłowość mieszkanki północnej Warszawy.

Klepanie Cezara po ramieniu urasta do rozmiarów symbolu, choć jest naporoz żartem. Maluczo, a w fatalnej partii kości Cezar przebrał by całe imperium na rzecz szwindlującego przybysza!

Cantor jest mistrzem w swoim rodzaju. Z przyjemnością widzimy wzrastające u niego poczucie narodowości, które dodaje kreacji jego urok swobody i szczerości. Do Rzymu przyszedł zapewne — z Kartaginy. Genjusz jego rasy przejawia się na każdym kroku i budzi zwiolową wesołość na widowni, której przepięknie trwać będzie niewątpliwie przez wiele dni.

Sam scenarzysta jest tylko pretekstem do pokazania szeregu zabawnych epizodów, ośmienia publicki przepychem dekoracji i tłumem od-

powiednio dekolowanych statystek (czy nie właściwszy byłby tytuł: „O czym śnią... Eddie Cantor?”). W całym tym grochu z kapusta, nieźle zresztą przez Franka Tutte przyrządzonym, jedna jest tylko kinowa okrasa: pyszny finał, rozgrywający się w szaleńczym pościgu kwadryg. Wspaniała pogoda tego stopnia rozkrzewa widzów, że zapominają o usterekach innych scen i wychodzą z przedstawienia pod doskonałym wrażeniem.

Na pochwałę zasługują też piosenki (ale nie ich słowa!) Dubin'a, Warren'a i Gilbert'a, łatwo i przyjemnie wpadające w ucho. Niektóre sceny przypominają fragmenty innych filmów (początek: „Światła wielkiego miasta” Chaplina, kilka reminiscencji z René Clair'a). Gdyby nie fakt, że „Skandale” nakręcono przed „Kleopatry”, można by sądzić, że jest to parodia C. de Mille'a. Ordynarny epizod z biciem po twarzy należy wyrzucić. Dowcipu nikt się w tem nie depatrzy.

Nad program nowe arcydzieło Disney'a: „Miki wśród liliputów”, będące fenomenalną transkrypcją przygód Gulliwera. Z aktualności Fox'a wyróżnić trzeba wzruszające zdjęcie pogrzebu króla Aleksandra. A. R.

Film o bezpieczeństwie pracy

Instytut Spraw Społecznych zaadaptował zaproszonym gościom krótkometrażówkę własnej produkcji p. t. „Uwaga — Komunikat Filmowy z Frontu Pracy”. Mielśmy już tyle przykrych chwil przy oglądaniu polskich filmów „propagandowych”, że z radością witamy ten doskonale pomyślany obrazek, przekonywujący prostymi lecz skutecznymi środkami o konieczności roztoczenia opieki nad pracującymi w niebezpiecznych warunkach robotnikami.

Cekalski i Wohl, wykonawcy filmu, wykazali duży postęp w stosunku do poprzednich swych filmów: są coraz bardziej zrozumiali i świadomi swych zadań. Niektóre zdjęcia i skróty w montażu, stoją na bardzo wysokim poziomie artystycznym, coraz mniej

widac gadulstwa filmowego: każdy obraz ma swoje uzasadnienie. Dobra ilustracja muzyczna skomponował Łutosławski. Zaletą filmu, po raz pierwszy bodaj spotykaną w krajowej krótkometrażówce, jest znakomite użycie dźwięku (atelier „Akustyka Polska”) nowym bezszmerowym systemem („British Acoustic”). Mając taki warsztat pracy powinni filmowcy polscy częściej z niego korzystać, a wtedy znikną może raz na zawsze z naszych ekranów bohomyzy dźwiękowy, jakimi są obecne krótkometrażówki domowej roboty.

Film Instytutu Spraw Społecznych powinien czempredziej ukazać się w kinach całej Polski: jest kształcący i artystyczny.

A. R.

Z muzyki

Z tygodnia

W piątek, w sali Konserwatorium Mikołaj Orłowski grał trzeci koncert fortepianowy Rachmaninowa. Wybór utworu, należy przyznać, był niezwykle szczęśliwy. Rachmaninow wywodzący się w prostej linii od Czajkowskiego nie tylko w „naczeniu” wielkiego rosyjskiego romantyka, doskonale odpowiadał temu charakterowi gry, jaki posiada Orłowski, świetny technik o podkładzie wybitnie lirycznym. Liryzm ów pełen jakiejś leniwej a jednocześnie subtelnej, typowo rosyjskiej rozlewności nie pozwolił wprawdzie na wydobycie paru mocniejszych akcentów, bez zarzutu natomiast, a nawet niezwykle dobrze przyczynił się do ukazania wyrazu pierwszej części koncertu. Jeśli w połączeniu z orkiestrą nie wypadła ona tak, jak wypaść wszędzie poza salą nieprzygotowaną do wykonywania dzieł o

charakterze symfonicznym powinna, a nawet musiała, jest to tylko winą tych właśnie fatalnych warunków, w jakich solista zmuszony był grać. Orkiestra pod dyktando Walerjana Bierdżajewa wykazywała bardzo dużo staranności, pełną jaknajlepszych chęci, niestety, nagromadzenie w malej sali takież masy dźwiękowej, chociażby w najsłabszym pianissimo, sprawiło wrażenie dalekie od zamierzonego wysiłku.

Równie dobrze jak i koncert Rachmaninowa odegrał artysta, potem dwa jego preludja g-dur i g-moll, wykonaniu natomiast Prokofiewa można by niejedno zarzucić. „Toccata” jest dziełem pozbawionem pierwszostki uczniowego. Niezwykle mocna w swym charakterze domaga się zdecydowanego, pełnego siły uderzenia, jakiejś pasji niecierpiącej się z niczem, traktującej forte-

pian przedwyszkietem jako instrument perkusyjny. Czy się to podoba, czy nie, to sprawa inna. Czytałem kiedyś zdanie, bodajże nawet Strawińskiego, które mówiło o sposobie tworzenia Prokofiewa jako o „robocie”. I jeśli co, to właśnie grana w piątek „toccata” może być jej przykładem. Piszę „może”, chociaż twierdząc, stanowczo, że nią nie jest. Prokofiew zbyt wiele ma w sobie bardzo bezpośredniego temperamentu, ażeby mu można było zarzucić „robotę”, mającą zawsze coś wspólnego z mroźnym, spokojnym wysiłkiem. Temperament jednak tego rodzaju daleki jest od postaci Orłowa, liryka w każdym przejawie swojej sztuki odtwórczej, wirtuoza zupełnego innego typu.

Publiczność nadzwyczaj gorąco przyjmowała wykonawcę, zapelniając po raz pierwszy w tym „emigracyjnym” sezonie wszystkie miejsca.

Widocznie, ażeby skorzystać z tej okazji i pokazać jaknajszerszym kołom słuchaczy cały bezsens. sytuacji w jakiej się ciągle

uparcie orkiestra filharmoniczna znajduje, jakieś licha wstało między koncert Rachmaninowa a jego preludja „Don Juana” Straussa...

Przedwyszkietem uczyniono tem krzywdę Orłowski, waląc bezpośrednio po jego niezwykle subtelnej grze, pełen bogactwa wprawdzie, ale głośny, bardzo głośny poemat symfoniczny, a potem, gdy jeszcze nie przebrzmiały należycie jego dźwięki, zaczął artyście spowrotem grać preludja ułożone na fortepian.

„Don Juana” Straussa można słuchać zawsze i z duża przyjemnością ale w warunkach, jakie napewno miał kompozytor na myśli wiążąc swoją koncepcję twórczą z zespołem symfonicznym. W piątek „Don Juan” brzmiał czasami poprostu nieznosnie.

Program wieczoru zawierał jeszcze czwartą symfonię Beethovena.

Następnego dnia mieliśmy występ kwartetu Indiga z Paryża, który grał utwory Roussela, Be-

ethoven'a i Schuberta. Pierwszą skrzypce trzymał (znac to było wyraźnie...) sam Indig. Poza nim w skład kwartetu wchodził Belin, Koerner i Blinder.

Zespół jest zgrany, posiada umiejętność frazowania, utrzymania tempa, mimo to nie można się było oprzeć wrażeniu, że przez ślizguje się on zbyt powierzchownie po wykonywanych utworach. Zobrazowanie tych trzech, jakże różnych indywidualności, jakimi są Roussel, Beethoven i Schubert, wymagało czegoś więcej, aniżeli idealnej nawet poprawności.

Marja Santi, która wystąpiła z własnym recitalem w niedzielę jest śpiewaczką o dużej kulturze i niemałym już kunszcie śpiewczym (sopran koloraturowy), świadczącym o dobrej szkole. Ciekawy program zawierał także odpowiadające charakterowi jej głosu i te wypadły jaknajlepiej, oraz dramatyczne, co do których można było mieć jednak trochę zastrzeżeń. „Aircife” Poulenca wymaga np. niezwykle sil-

nego głosu, ażeby osiągnąć prawdziwy i należyty wyraz. Trzeba nawiasem przyznać, że jest to utwór pełen mocnego wyrazu. Na szczególną uwagę zasługują wykonanie pieśni „Jeunes filles” i arji z „Cytulika sewilskiego”.

Program zawierał przeważnie nazwiska włoskie. Prawdziwą nie spodzianką sprawiła artystka wykonaniem po polsku „Zawodu” Karłowicza, w którym wykazała doskonałą dykcję i to w języku, który dla niej nie mógł nie przedstawiać trudności.

Przy fortepianie kobiecy (jak zwykle) Ignacy Rosenbaum, który nie wykracza nigdy poza rolę drugoplanowego towarzysza, podczas gdy winien być współtwórcą wykonywanych utworów. Jest to zarzut z którym już pianista spotyka nie po raz pierwszy — wiele np. na tej stracił w ubiegłym tygodniu występ skrzypaczki Colette Frantz, niejedno winna mu mieć do zarzucenia i Marja Santi.

J. B.